

## Pocztówka z za dziury w płocie czyli ekspaci, Maraci, oraz Indie na co dzień.

Dziurę w płocie z blachy falistej znalazłam na trzeci dzień po przylocie do Pune. Jest spora. Chłopaki z budowy przeciągają przez nią rowery. Przed dziurą jest przyjemny, ale mało egzotyczny Zaulek przy którym stoi mój kompleks hotelowy, nowe osiedle mieszkaniowe i dwie restauracje. Za dziurą jest plac budowy, świątynka i przejście na skróty. Na drugą, większą ulicę.



Przed dziurą jest jest ślicznie, wygodnie i amerykańsko. A właściwie kosmopolitańsko, bo akurat Amerykanów to w moim hotelu nie ma za dużo. Rozpoznaję ich na śniadaniu. To ci, co z ogromnego i niezwykle urozmaiconego bufetu wybierają pączki i kawę. Więcej tu Brytów i Niemców. Raz na jakiś czas trafia się jakiś skośny, albo skośna. Koreańczyk, albo Japończyk. Raczej nie Chińczyk, bo chińskich kanałów w telewizji nie ma. Sa za to dwa koreańskie i jeden japoński z anime. Sporo nie pracujących żon, niektóre z dziećmi. Rano panowie wsiadają do samochodów z szoferami i jadą do pracy. Trochę później przyjemne i zadbane kobiety odprowadzają ładne dzieciaki w schludnych szkolnych mundurkach do limuzyn. Po szkole, czyściutko odziane dzieci, bawią się grzecznie na placyku gier, przed fontanną, albo przy basenie.

Życie ekspata jest wygodne. Napoją, wyżywią, upiorą, posprzątają. Hotel zapewnia rozrywki, zumba, jogę, masaże, wycieczki na zakupy, party na trawniku, w piątki w restauracji śpiewa hinduski Elvis. Elegancja, Francja. Czysto, spokojnie i trochę nudno.



Za dziurą jest inaczej. Ciekawiej. Jest głośno i kolorowo. Nikt nie szczędzi klaksonow, których trąbki mieszają się z gwarem ulicy. Ktoś wyciska sok z trzciny cukrowej za pomocą niezwykle skomplikowanej maszyneryi, ktoś sprzedaje idli, ugotowaną masę ryżową z szafranem w miseczkach z liści betela. Jeszcze ktoś układa na asfalcie garlandy ze świeżych roz i tuberoz. Ktoś inny kupi to za grosze i powiesi przed świątynką poświęconą ulubionemu w Pune bogu Ganeshy. Hinduskie mamusie wiozą do domu zakupy. Na skuterach.



Ludzie żyją zwyczajne życia. Sielanki tu nie ma. Jest biednie, brudnawo, ale tak jakoś weselej i normalniej. Pełno malutkich sklepików i kramow. I nikt tu nie żebrze. Nie ma chmar brudnych dzieci oblepiających taksówki z turystami na czerwonym świetle. Tak jak w Bombaju, kiedy to nieopatrznie otworzyłam okno, żeby zrobić zdjęcie. Tutaj nikt się nie spodziewa turystow, więc jak się nawet kto i trafi, to mało zwraca uwagę. Żeby nie była taka strasznie biała, to pewnie pies z kulawą nogą by mnie nie zauważył. Ale i tak po kilku dniach moich spacerow za płót, tubylcy przestali się ogladac. Czasem jeszcze zwolni koło mnie ryksza, podjedzie kawalek i zniechęcona przyspiesza szukając innego klienta. Wszechobecny kurz przycmiewa nieco kolory, ale i tak zdjęcia tu wychodza lepiej niz tam, przed dziurą.



Kiedy odlatywałam z Houston bywalcy w Pune udzieli mi mnóstwa pożytecznych rad. Głównie dotyczyły tego, czego mam nie robić.

– Nie pij wody ze szklanki, chyba że nalana z butelki, która otworzą przy tobie. I pamiętaj, żeby psyknęło! Jak nie psyknie, znaczy się butelka oszukana, a woda z niepewnego źródła! A jak psyknie, to i tak pij z butelki, kto wie jaka ta szklanka czysta. I bez lodu! Pamiętaj, bez lodu...

– Nie jedz owoców, chyba że sama umyjesz w wodzie z mydłem. I obierzesz. Oni tam używają bardzo dużo pestycydów!



– Nie otwieraj buzi w prysznicu! Ani w basenie!

– Nie jedz nic surowego, tylko dobrze ugotowane! I nic na ulicy!

– Nie używaj miejskich toalet!

– Jeździj tylko hotelowymi taksówkami. Nie wsiadaj sama do rykszy. Najlepiej w ogóle nie wychodź z hotelu! Tam jest bezpiecznie. Czysto, higienicznie. I właściwie masz tam wszystko co ci potrzebne do szczęścia. Basen, gym, sklepik.

– O! Sklepik? Na rogu? Ze świeżymi buleczkami i kefirem? A piwo tam mają? – ucieszyłam się, bo na sklepik nie liczyłam. Może w tych Indiach nie będzie tak źle.

– Kefiru nie ma. Jest jogurt i dahi, takie coś podobne do jogurtu i dają to w codziennym śniadaniowym bufecie. Też świeże buleczki. Jest taki mały sklepik – poinformowała mnie Meha – ale lepiej nie szukaj. Tam trochę trzeba podejść po wertepach, z tyłu hotelu. A wyglądasz raczej mało hindusko. Bada się gapić. – poradziła zyczliwie – Lepiej popros kogos w biurze, to ci kupia co potrzeba.

Ładny gnoj – pomyślałam słowami Konrada, który też mnie ostrzegł przed Indiami, ale jego nie brałam poważnie. Z Meha inna historia. Meha wygląda jak stuprocentowa

Hinduska, która zresztą jest. Tyle że urodzona już w Baltimore lepiej mówi po angielsku niż hindi. Rodzina Mehy pochodzi z Gujaratu, stanu sąsiadującego ze stanem Maharashtra, którego drugim co do wielkości miastem jest Pune. W Pune mieszkają Maraci, a tam gdzie mieszkają krewni Mehy mieszkają Gujaraci. To jak się okazuje duża różnica, bo nawet dogadać się nie mogą w tym samym języku. Meha w Indiach czuje się pewnie tak, jak moje dzieci w Polsce. Niby znajomo, ale nie całkiem. Ale z pewnością się lepiej orientuje jak tam jest niż ja. Postanowiłam się słuchać.

Może to i dobrze, że lecę tylko na miesiąc, a nie na trzy, jak planowałam – pomyślałam z rezygnacją. A miesiąc to i na szpilkach jakos przesiedzę. Najwyżej poleżę nad basenem. A pic będę piwo. Z butelki.

Poleciałam do Indii na początku lutego. Przyleciałam w piątek, odespałam 20 godzin podróży i przez parę dni trzymałam się dzielnie wskazówek doświadczonych podróżników. Na trzeci dzień odkryłam dziurę. Pierwszy spacer był odkryciem normalnych Indii, nie tych ze lśniących pałaców z Taj Mahal, ale też nie tych z filmu Slumdog Millioner, chociaż Mumbai niedaleko. Zaniepokojenie z czasem mi minęło, poczułam się spokojnie, ale wodę starałam się dalej pic z butelki, co mi tylko wyszło na zdrowie.



Mijają cztery tygodnie mojego pobytu w Pune. Zaraz się będę zbierać do powrotu. Czuję się już w miarę swojsko i właściwie nic mi nie przeszkadza. Ulica za dziurą w płocie znormalniała, wydaje się jakaś czystsza, mniej zasmiecona, ale też mniej egzotyczna i kolorowa. Jakby mniej trąbią. Gardło przestało mi reagować na kurz i mniej kaszle. Przez dziurę w płocie mogłabym spokojnie sama przeciągnąć rower, ale huknęłam się w mały palec u nogi i zrezygnowałam. Woda w basenie jakaś cieplejsza. Wiem już, gdzie mam się pozakrywać i co mogę pic. Niestety z piwem jest marnie, bo albo słabe albo okropnie drogie. Podobnie jak wszelkie inne importowane alkohole. Ciągłe nie jem różności z ulicy, bo jakos specjalnie do mnie nie przemawiają. Są albo za słodkie, albo za mdłe.

Nowosci mi spowszedniały. Przestałam wieczorami ogladac Al-Jazeera, ktora na poczatku wydała mi się niezwykle atrakcyjna, bo inna. Ale jest okropnie depresyjna, a ja staram się ograniczac depresję. Zaczęłam ogladac ruski kanał, Po angielsku. Okazał się nawet dosyć rozrywkowy. Normalni na oko ludzie, z oksfordskim akcentem wygadują takie bzdury, jakby świat się zatrzymał na Chruszczowie. Zaczyna mi brakować bliskich krewnych i znajomych krolika z Houston i materaca w Meadows.. Czas wracac. Więcej o Indiach napisze juz w domu.

